

Rafał A. Ziemkiewicz
Pobożne życzenie

Naprawdę, sam nie znoszę opowieści, które się w taki sposób zaczynają: skacowany poniedziałek, rozdzwoniony telefon, główny bohater z trudem dowleka się, by podnieść słuchawkę, a tam ktoś wzywa go do walki przeciwko ciemnym siłom, które właśnie sięgają po władzę nad światem. On zaś, naturalnie, z punktu zapomina o swoim stanie i rzuca się temu światu na ratunek. Każdy czytał albo oglądał takich historyjek od diabła i trochę, ja też, i w życiu by mi coś podobnego nie przeszło przez pióro, gdyby nie jeden drobiazg — tak to właśnie było. Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił, a ja po weekendzie z Renatką czułem się, jakby mnie przez całą noc ganiał po kamienistych polach tłum chłopów z pochodniami, na koniec dopadł i porachował drągami wszystkie kości — łeb jak czajnik, w gębie Sahara i posmak, kojarzący się z mauzoleum Lenina. To, iż w końcu podniosłem słuchawkę, stanowiło akt prawdziwego heroizmu. Tym bardziej że doskonale wiedziałem, kto dzwoni i w jakiej sprawie.

Nie upewniał się, czy to ja, nie wyraził przekonania, że mamy piękny dzień, ani nie spytał, jak się mam. Głosem, w którym drgało ledwie powstrzymywane załamane nerwowe, powiedział tylko jedno słowo:

— No?

Zadzwoił w najlepszym dla siebie momencie. Zawsze na kacu bardziej od bólu głowy, drżączki czy światłowstrętu dokuczają mi wyrzuty sumienia, pociągające za sobą dojmującą potrzebę ekspiacji. Mam ochotę przywdziać włosienicę i zostać biczownikiem, udać się na kolanach do Częstochowy, a co najmniej podjąć się jakiejś szlachetnej i trudnej misji. W takim stanie jestem po prostu fizycznie niezdolny ściemniać.

— Jonasz, i tak nie uwierzysz — przyznałem się otwarcie do braku jakiegokolwiek sensownego usprawiedliwienia. — Nie mogłem w ten weekend. Coś... coś mi się przydarzyło. Coś bardzo ważnego.

Usłyszałem, jak wciąga przez zęby powietrze. Przez kilka sekund po tamtej stronie panowała cisza, a potem nagle odezwał się głosem zupełnie spokojnym, ciężkim od rezygnacji:

— Na litość Boską, Rafał. Obiecujesz swój przyjazd od dwóch tygodni. I od tych dwóch tygodni coś bardzo ważnego przydarza ci się codziennie.

* * *

Nie znalazłem na to żadnej odpowiedzi, poza, oczywiście, obietnicami, że już — natychmiast wsadzam łeb pod kran, wyprowadzam „Srebrnego Szerszenia” i mknę do Marek mocą wszystkich koni mechanicznych, jakie jeszcze pozostały w dwunastoletnim silniku. Nie znalazłem żadnej odpowiedzi, bo, jakkolwiek nieprawdopodobne wydawało się to Jonaszowi i mnie samemu, od momentu, kiedy nieopatrznie obiecałem mu pomoc, naprawdę zaczęło mi się dzień w dzień coś przydarzać; coś, co za każdym razem skutecznie uniemożliwiało wywiązanie się z obietnicy.

W pierwszych dniach były to drobiazgi. Jakaś drobna domowa awaria, wpadająca na szybko chałturka, w każdym razie dość, żeby powiedzieć sobie: „dobra, dzień wte czy wewte, do Jonasza podskoczę jutro”. Kiedy wreszcie podskoczyłem, akurat tego dnia rozpadł się wiadukt przy zjeździe na Legionowo i razem z połową prawobrzeżnej Warszawy spędziłem pół dnia w megakorku. Niby nic nadprzyrodzonego, ten wiadukt był oddawany na 22 lipca jeszcze za wczesnego Gierka, ale ktoś mądrzejszy na moim miejscu już w tym momencie domyśliłby się, że Niebiosa po prostu sobie nie życzą, bym gdziekolwiek jeździł. Nie byłem wystarczająco domyślny — komórka pęczniała od Jonaszowych ponagleń, i naprawdę

zaczęło mi być głupio, więc koniec końców w piątek zapałem się, postanowiłem wszystko zostawić i nadłożyć piętnaście kilometrów na objeżdżanie zawałonego wiaduktu, żeby wreszcie do tych cholernych Marek dotrzeć, wywiązać się z obietnicy, no i, nie będę udawać altruisty, zdobyć przy tym sławę, która ustawi mnie w nowym fachu.

I wtedy aniołowie na chwilę spleli raz jeszcze drogi mojego życia — to oczywiście jej określenie — z Renatką, moją pierwszą wielką i nieskonsumowaną w swoim czasie miłością, jeszcze z liceum. Nieskonsumowaną, bo ostatnie, co mogło kręcić najlepszą laskę w lic, to fatalnie ubrany i zupełnie niewysportowany okularnik ze skłonnością do baraniego rozmarzania się i pisania wierszy. Najlepszą laskę w lic kręciło to samo, co od zawsze kręci wszystkie najlepsze laski ze wszystkich klas — kasa. Dużo kasy. Peweksy, ekstra gabłota i szpan. Toteż kiedy w jakiś czas po maturze dotarła do mnie wiadomość, że moja wielka miłość wyszła za właściciela jakiejś hurtowni, czy całej sieci hurtowni, nic mnie w tym nie zdziwiło.

Ale to było dawno. W piątek, kiedy już aniołowie spleli, co mieli do splecenia, dowiedziałem się, że pieniądze to tylko pułapka, życie żony biznesmena jest obrzydliwie prozaiczne, on sam to duchowe zero, a jego znajomi w ogóle do niczego. Właściwie Renatka miała o swoim hurtowniku tylko jedną dobrą wiadomość do przekazania — że samolot z Frankfurtu ląduje dopiero w niedzielę późnym wieczorem. Po następnym drinku pożałowała się, że takie życie po prostu ją dusi (dyskretna łezka, trzepocząca u rzęsy), a przecież, choć oczywiście nie jest już taka piękna, to chyba wciąż jeszcze do czegoś się nadaje i chyba coś jej się, jasna cholera, więcej niż tylko niańczenie dzieci, należy od życia. Po prostu nie wypadało się nie zgodzić.

No dobra, wiem, co sobie o mnie w tej chwili myślicie. W ten poniedziałkowy poranek, po telefonie Jonasza, pewnie przyznałbym wam rację bez chwili wahania. Gdyby ktoś wtedy spojrział na mnie krzywo, to z płaczem i skrucą wyznałbym jeszcze, by się pogrążyć we własnych oczach już do końca, że bez cienia zażenowania pozwalałem jej płacić we wszystkich odwiedzonych w ten weekend pubach, klubach i dyskotekach. W tej chwili nie czuję się z tym szczególnie źle, niby kto inny miałby płacić i czym? Zresztą, jak powiada Pismo (choć może niezręcznie je cytować przy tej okazji): „godzien jest robotnik zapłaty swojej”. Ale w ten poniedziałek świadomość stoczenia się do roli weekendowego utrzymanka dodatkowo powiększała ciężar, jaki stanowiło dla mego sumienia niewywiązanie się po raz kolejny już z uroczyście danej koledze obietnicy. Jazda do sklepu Jonasza stała się, że użyję mądrej frazy, imperatywem kategorycznym.

Resztki rozsądku wymogły na mnie tyle, żeby przed wyjściem uspokoić rozhuśtany żołądek jajecznicą. Rozgrzałem na patelni tłuszcz, wbiłem nań pierwsze jajko, potem drugie — cała kuchnia wypełniła się smakowitą wonią. Sięgnąłem po trzecie jajko, wbiłem je obok dwóch pierwszych i ledwie zdążyłem dobiec z patelnią do kibla, zanim dojmujący smród nie przyprowadził mnie o atak torsji.

Zignorowałem ostrzeżenie.

Kiedy zawiązywałem buty, pękło sznurowadło. Ponieważ na kacu trudno się długo schylać, zwłaszcza w płaszczu, celem dokonania całej skomplikowanej operacji z wywleczeniem, związaniem na supeł i ponownym nawleczeniem sznurówki, usiadłem na podłodze. Potrafiłem przy tym plecami regały. Gruba książka w sztywnej oprawie, której na pewno tam nigdy nie kładłem, zsunęła się z najwyższej półki i przydzwoniła mi w głowę, przy czym ostry kant okładki przejechał precyzyjnie i bardzo boleśnie po skrzydełku nosa.

Zignorowałem także i to. Moja determinacja, by wreszcie dotrzeć do Marek i uratować Jonasza przed bankructwem, była niewzruszona.

Załamiony, trąc lewą ręką obolały nos, wyprowadziłem Srebrnego Szerszenia spod podwórkowej wiaty. Felga przedniego lewego koła była wgięta na kształt ptasiego dzioba —

najwyraźniej gdzieś nieźle przyłożyłem o krawężnik, choć dałbym sobie rękę obciąć, że czegoś podobnego nie mógłbym nie zauważyć.

To nic, pomyślałem sobie. Mechanika mam akurat po drodze.

Samochód nie chciał zapalić. Uparłem się. Kiedy zirytowani moimi próbami sąsiedzi zaczęli już otwierać okna i zawisać znacząco nad parapetami, wyeksploatowany do granic silnik ustąpił wreszcie przed moją determinacją, kichnął, zawył i w kilka chwil zasnuł całe podwórko gęstwą siwego dymu. Odjechałem, ścigany wściekłymi spojrzzeniami.

Policjant na rondzie, widziałem to wyraźnie, odwrócił się nagle, jakby coś go tknęło — tak że jego wzrok padł akurat na mój samochód, na ledwie siedzący w oprawie prawy reflektor, rozciapcianą oponę i skrzywioną felgę. Zrobił krok w stronę ulicy i zdecydowanym machnięciem uzbrojonej w lizak ręki wyłuskał mojego „Srebrnego Szerszenia” ze strumienia samochodów. Było za późno, żeby cokolwiek zrobić; wjechałem posłusznie na placyk pośrodku ronda, przy okazji prezentując zdumionym oczom stróża porządku rozległe wgniecenie lewych tylnych drzwi i błotnika. Zaczęło we mnie narastać niejasne przeczucie, że wpakowałem się w kłopoty.

— Prawo jazdy, dowód i ubezpieczenie — powiedział. Nawet nie był wrogo nastawiony, zresztą nie było to potrzebne. — Co to jest? Ksero?

Popatrzyłem na niego bezradnie.

— Gdzie pan ma oryginał?

— Aaa... w firmie mi powiedziano, że wystarczy ksero. Zapomniałem powiedzieć, że mój „Srebrny Szerszeń” był służbowym samochodem jednej zaprzyjaźnionej firmy; dzięki temu w ogóle jeszcze było mnie na niego stać. W związku z tym oryginał ubezpieczenia musiał tkwić w jakimś skoroszycie, na wypadek kontroli skarbowej.

— Ksero musi być potwierdzone. — Pomachał kartką z lekceważeniem. — Panie, takie coś to ja sobie mogę zrobić w minutę. Zastonę karteczką, dopiszę inne nazwisko, i już. No nie?

Odczekał chwilę, żeby moje milczenie wybrzmiało odpowiednio dobitnie, po czym zainteresował się światłami wozu.

— Mam to wyjąć? — pokazał na reflektor. — Przecież on zaraz wypadnie.

Tak się wydawało już rok temu i dotąd jakoś nie wypadł. Ale wolałem się powstrzymać od polemik. Z wolna zaczęła do mnie docierać groza sytuacji: jeżeli mi teraz zabiorą samochód, to koniec. Szansę na znalezienie jakiegokolwiek uczciwej pracy spadają do zera.

— Za sam brak ubezpieczenia powinienem od razu zabrać dowód i odholować wóz na policyjny parking. Pan stanowi ewidentne zagrożenie dla ruchu drogowego. — Teraz z kolei zainteresował się tylnym zderzakiem. Przyznaję, że był trochę oderwany i przekrzywiony, ale w gruncie rzeczy trzymał się całkiem dziarsko. Tylko tak wyglądał jakby miał zaraz odpaść.

— Niech pan włączy lewy migacz... prawy... krótkie światła... No, jeszcze ma pan przepalone długie w prawym reflektorze...

— Właśnie jechałem do warsztatu... — Niemal fizycznie czułem, jak ulatniają się gdzieś resztki mojej osobistej godności. — Wie pan, ja jestem dziennikarzem. Muszę mieć samochód do pracy... No, po prostu nie stać mnie na nowy wóz.

— A co mi pan tu! Niesprawny samochód, brak ubezpieczenia... Ja mam regulamin, ja tu już powinienem ściągać wóz holowniczy i pisać wniosek na kolegium. Silnik ile ma lat? Sprawdzimy spaliny?

Ciekawe, że nawet nie spytał mnie, czy mam ważny przegląd. Wiedział doskonale, że tak, i wiedział też, jak się ten papier załatwia i ile jest wart. Znowu odczekał chwilę, żeby ten ostatni, dobijający cios należycie wybrzmiał, potem raz jeszcze obrzucił mój wehikuł spojrzeniem pełnym politowania i odszedł pokonferować z kolegą. Rozmawiali przez chwilę, widziałem, jak tamten drugi wybucha śmiechem i lekceważąco macha ręką.

Nawet w tym stanie potrafiłem sobie wyobrazić dalszy rozwój wypadków. Coś we mnie pękło. Przymknąłem oczy i tknięty nagłym impulsem powiedziałem cicho, ale wyraźnie i dobitnie:

— Nigdzie nie jadę. Odstawiam samochód do warsztatu i wracam do domu. Powiem Jonaszowi, żeby się wypchał. W ogóle nie będę odbierał jego telefonów. Obiecuję. Przysięgam na wszystkie świętości: wracam do domu i koniec.

Kiedy otworzyłem oczy, policjant wracał właśnie z nieprzeniknioną miną i moimi papierami w ręku. Patrzył na mnie przez chwilę.

— No więc co pan proponuje?

Miałem ochotę wyskoczyć z samochodu i ucałować go w oba policzki.

* * *

A zaczęło się wszystko od tego, że ksiądz Muchomorek przejął „Gazetę Narodową”, ostatnie miejsce, gdzie miałem stałe zaczepienie. Właściwie, żeby być ścisłym, wykupiła je firma oficjalnie z holdingiem Radia Alleluja niezwiązana, zbudowana na bazie jakiejś toruńskiej rzeźni, ale było tajemnicą poliszynela, że rządzą tam jego ludzie. Rządzili zresztą całkiem nieźle, skoro udało im się wykupić kilkanaście innych, równie podupadających przetwórnicy, przekształcić je w holding „Polskie Mięso” i wprowadzić na giełdę. Po czym nowa spółka giełdowa jako kierunek ekspansji wybrała media, a moja gazeta, jako najbardziej opiniotwórczy organ prawicy, poszła na pierwszy ogień. Co oznaczało, między innymi, że z jej łamów będą musiały zniknąć teksty niejakiego Rafała Aleksandrowicza.

Sam fakt, że o szefie tego całego przedsięwzięcia mówiłem „ksiądz Muchomorek”, wystarczył, by uznać mnie za osobę zdecydowanie w piśmie niepożądaną. Oczywiście, nazywali go tak wszyscy, ale to nie stanowiło żadnego usprawiedliwienia — „wszyscy” nie byli prawymi Polakami–i–katolikami, a w nowej Muchomorkowej gazecie narodowej pracować mogli tylko tacy. Prawemu Polakowi–i–katolikowi zaś nazwanie księdza Grzybowskiego „księdzem Muchomorkiem” nie przeszłoby przez gardło. Nie przeszłoby mu nawet nazwanie go księdzem Grzybowskim. Prawy Polak–i–katolik mówił: „Ojciec Dyrektor”. Głosem ścisłym i pełnym szacunku. Nigdy inaczej.

Dawno temu, kiedy jeszcze Ojciec Dyrektor był przez wszystkich uważany za folklor i margines polskiego katolicyzmu, „Gazeta” postanowiła zrobić o nim obiektywny materiał na dwie kolumny i wysłała z tą sprawą do Torunia właśnie mnie. Zdołałem dotrzeć tylko do furty, jak nazywano tam przegrodzone wysoką barierą pomieszczenie, przypominające katolicki komisariat, przez które wchodziło się do, obwarowanej niczym zamek w Malborku, siedziby Radia Alleluja. Najpierw długo przedzierałem się przez tłum dewotek, potem jakiś młody ksiądz wypytywał mnie dobry kwadrans o cel przybycia i personalia. Odpowiadałem, bo wydawało mi się, że rozmawiam z człowiekiem, który coś może. Swój błąd zrozumiałem dopiero wtedy, gdy na Furtę zeszły, przywołane przez niego, dwie panie w sile wieku, traktujące młodego księdza z czułą pobłażliwością, jakby miały go zaraz wziąć na ręce i przytulić do potężnych biustów. Popatrując ku mnie drwiącym wzrokiem osób, które nie dadzą się zwieść żadnemu wrogowi, Muchomorkowe aktywistki zasypały mnie gradem podejrzliwych pytań, począwszy od zawodu i miejsca zamieszkania mojego dziadka, a skończywszy na mojej ocenie bieżących wydarzeń politycznych. Już po paru minutach wiedziałem, że oblałem egzamin i że z wywiadu nic nie będzie.

Coś tam jednak mimo wszystko o Muchomorku pisałem. Mój dorobek był na tyle skromny, że nic złego mnie nie spotkało. Ale jednak na tyle wymowny, że o mojej dalszej pracy w przywróconej prawdziwemu patriotyzmowi „Gazecie Narodowej” nie było nawet mowy.

— A gdzie jest Aleksandrowicz? — spytał naiwnie Prorok w kilka dni po wprowadzeniu się do redakcji nowego kierownictwa. Nasłana sekretarka, podobno zaufana szefów „Polskiego

Mięsa”, popatrzyła na niego przejmująco i głosem, udatnie naśladowującym padalcową troskliwość Ojca Dyrektora, powiedziała:

— Panie Tomku... Musimy się wszyscy za niego modlić.

Wiem o tej rozmowie, bo dwa tygodnie później, kiedy okazało się, że trzeba się modlić także za Proroka, wysuszyliśmy wspólnie na pociechę parę piw na wyliniałym skwerku za byłym Dworcem Głównym. Pod chmurką, bo bezrobotnych dziennikarzy nie stać na knajpianą marzę.

Oczywiście, każdy wie, że w Warszawie, gdziekolwiek spluniesz, masz osiemdziesiąt procent szans trafić w oko bezrobotnego dziennikarza. Ale bezrobotny dziennikarz z gazety prawicowej to przypadek jeszcze bardziej beznadziejny niż jakikolwiek inny. Polityczna poprawność narzuca w tej branży ruch jednokierunkowy: do prawicowego pisma możesz przyjść skąd wola, ale z niego droga wiedzie już tylko do pisma jeszcze bardziej prawicowego. A ponieważ wszystko, co bardziej prawicowe od „Gazety Narodowej”, było w rękach księdza Muchomorka już od dawna, pozostawał nam z Prorokiem tylko ten wyliniały skwerek.

— Zostanę pustelnikiem — oznajmił Prorok przy piątym piwie. — Jak jeden mój znajomy. Od pięciu lat mieszka w eremie w Puszczy Świętokrzyskiej, z ludzi widuje tylko pielgrzymów, a całą duszą jest tam... Jakby już za życia w raju — rozmarzył się.

— A ja się stoczę i zostanę dziadkiem śmietnikowym — też już piłem piąte piwo. — Będę pić denaturę i segregować odpady. I każę na siebie mówić: pan z recyklingu.

Nie powiem, to wcale nie był taki zły pomysł na życie, a bliskość Dworca Centralnego czyniła go jeszcze bardziej atrakcyjnym, i zapewne skorzystałbym z okazji, gdyby nie męska duma. Akurat taki to był moment w moim życiu — zdecydowanie nie chciałem, by wyglądało, że wystarczy się ze mną rozwieść, a zaraz się załamuję i ląduję w rynsztoku.

— Pieprzyć wszystko, z Muchomorkiem na czele. Przełamiemy złą passę — obiecałem przy goleniu swojemu odbiciu i żeby powstrzymać nieuchronną moralną degrengoladę, rzuciłem się w wir chałtur: horoskopy dla prasy kobiecej, foldery o Integracji Europejskiej, analizy dla jakiegoś komitetu rozwoju rolnictwa, sam już nie pamiętam co. Ale z chałturami jest jak z obiadem w szpanerskiej knajpie: więcej się człowiek zmęczy, niż naje. Musiałem wymyślić coś nowego, i to szybko.

Otóż postanowiłem — nie śpij, drogi czytelniku, właśnie dochodzę do sedna sprawy — porzucić niewdzięczną żurnalistykę i zająć się pijarem. Czy muszę wam to tłumaczyć? Dobrze. Widzieliście kiedyś złachanego pijarowca, zagonionego między jedną konferencją a drugą, zmuszonego wysłuchiwać godzinnego gładzenia różnych prezesów i dyrektorów, żeby wreszcie móc się dopchać do paru nędznych kanapek z katering i cienkiego wina w plastikowym kieliszku? Oczywiście, że nie. Pijarowiec stoi po drugiej stronie stołu, do którego ciśnie się dziennikarska tłuszcza, nosi elegancki garnitur i uśmiecha się godnie oraz wyrozumiale. Pijarowiec wyłuskuje z tej tłuszczy wybrańców, dla których przywoła skinieniem dłoni urodziwą hostessę z reklamówką pełną giftów, dociążoną solidnym łyskaczem albo co najmniej francuskim winem. Pijarowiec szerokim gestem stawia w knajpie na VATowską fakturę dla swojej agencji albo wprost na rachunek zleceniodawcy. Pijarowiec jest istotą po prostu stojącą od dziennikarza wyżej.

Jak się dostać pomiędzy istoty wyższe? Zabrałem się za dokumentowanie tematu. Teoretycznie najłatwiej było się załapać do którejś z sieciówek, czyli do polskiego oddziału zachodniej firmy pijarowskiej. Od ich pracowników nie wymaga się niczego, a już najmniej jakichkolwiek kwalifikacji, pomysłowości czy skuteczności. Sieciówkom wszystko to zwisa, bo i tak mają zagwarantowane milionowe zlecenia od innych firm ze swojej grupy kapitałowej; zlecenia, których sposób zrealizowania nie ma znaczenia, gdyż i tak służą tylko do wyprowadzania zysków z Polski do krajów o rozsądniejszej stopie opodatkowania. Oczywiście tak kusząca i niewymagająca synekura nie mogła nie zostać z punktu obsiedziana

przez układy nie do przebicia. Tym bardziej nie miałem co liczyć na zahaczenie się w pijarze jakiegoś zachodniego koncernu. Tu z kolei kwalifikacje były niezbędne, ale takie, jakimi absolutnie nie dysponowałem. W pijarze zachodnich koncernów pracują tylko ludzie, blisko powiązani z partiami aktualnej koalicji rządowej, z opozycji tylko wtedy, kiedy już wiadomo, że ta opozycja wkrótce stanie się władzą. Pijar wielkich firm nie jest bowiem w Polsce żadnym pijarem, tylko przykrywką dla lobbingu, a czym jest w Polsce „lobbing”, nie chce mi się tłumaczyć, bo wie to każde dziecko. Poza lobbystami w każdym takim dziale miejsce jest jeszcze tylko dla jednej sterroryzowanej dziewczyny z małego miasteczka, której znajomości ograniczają się do czterech języków i amerykańskiego kursu biznesu i która w pocie czoła odwała za partyjnych nominatów całą merytoryczną robotę.

Korciła mnie pozycja wolnego strzelca. Kogoś, kto w razie czego potrafi tak skutecznie różne sprawy nagłośnić albo przydusić, że w kryzysowych sytuacjach zleceniodawcy zwracają się właśnie do niego. Do tego celu najlepiej było znaleźć się w jakiejś nie za dużej, uczciwej agencji, żyjącej od zlecenia do zlecenia. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że dla każdej z nich byłem wymarzonym nabytkiem. Dziennikarzenie pozwoliło mi nawiązać liczne znajomości, a poza tym byłem wygadany, obyty, obdarzony błyskotliwą inteligencją, rozległą wiedzą i dużą, żeby się wdrożyć do pi — jarowskiego slangu, kreatywnością. A na dodatek, o czym wiedziałem i bez Renatki, mój osobisty urok silnie działał na kobiety, co też ma w tej branży swoje znaczenie.

O tym wszystkim trzeba było jednak przekonać przyszłego pracodawcę, a najlepszym na to sposobem byłoby odnieść jakiś spektakularny sukces. Nie pamiętam naprawdę, czy pomyślałem o tym, zanim usłyszałem o kłopotach Jonasza, czy też właśnie na wieść o nich zaświtała mi ta myśl... W każdym razie okazja wydawała się idealna.

Jonasz, luźny znajomy z dawnych lat, otworzył pod Warszawą średniej wielkości market. Lokalizacja doskonała, asortyment szeroki i zawsze chodliwy, jednym słowem — sukces wedle wszelkich ludzkich rachub był pewny. Tymczasem przedsięwzięcie z niewyjaśnionych przyczyn okazało się kląpą. Jakiś „Sanktas” czy coś takiego, mały, zupełnie nie reklamowany sklepik, założony przez konkurencję znacznie dalej od przelotówki, odbierał Jonaszowi większość klienteli, chociaż miał fatalny dojazd i sprzedawał badziewie po paskarskich cenach. Nie pomagały promocje, racjonalizowanie kosztów ani żadna z rzeczy, które powinny pomóc — sprawa wyglądała tak dziwnie, że napisało o niej jedno z fachowych pism.

— To twój szczęśliwy dzień, Jonasz — zadzwoniłem z pocieszeniem, ledwie przeczytawszy o jego zbliżającym się nieuchronnie bankructwie. — Rafał Aleksandrowicz mówi, pamiętasz?

— Nie kpjij sobie z człowieka, Rafał. Ja już naprawdę nie wiem, co z tym pechem zrobić. Jakby jakiś drań stał przy rozjeździe i odpędzał mi klientów.

— Ważne, że ja wiem, co zrobić. Pewnie nie słyszałeś, ale dałem sobie już spokój z dziennikarzeniem. Teraz zajmuję się pijarem.

Jego odpowiedź tchnęła niewiarą w moje możliwości, ale sposób, w jaki wypowiadał słowa, zdradził, że obudziłem w nim, gasnącą już najwyraźniej, nadzieję.

— Musiałbyś tu przyjechać, zobaczyć, na czym to polega...

— Jasne, że muszę przyjechać. Dokładne określenie potrzeb to klucz do udanej kampanii. Nie bój nic, zrobię ci pijar dokładnie na miarę, za miesiąc będzie o tobie we wszystkich gazetach, a za dwa sklep będzie pękał w szwach. A kasą się nie martw, zapłacisz mi później.

— Teraz, choćbym nie wiem jak chciał, i tak nie mam czym. Wszystko mam zamrożone w towarze, a towar gnije. Jestem załatwiony. Beznadziejna sprawa i tyle.

— Dżentelmen zajmuje się tylko sprawami beznadziejnymi. Wpadnę jutro, mam nadzieję, że nic mi nie przeszkodzi.

* * *

Oczywiście, przeszkodziło — i jutro, i pojutrze, i jeszcze po dwóch tygodniach. Ale to już opowiadałem. Powtarzające się uporczywie zbiegi okoliczności zmusiły mnie w końcu do haniebnej kapitulacji. Jonasz jeszcze parę razy próbował o sobie przypomnieć, w końcu najwyraźniej dał za wygraną.

Po trzech tygodniach miałem już całą przygodę wyrzuconą z głowy tak skutecznie, że z jubileuszowej wyzerki w Krajowej Izbie Gospodarczej skorzystałem bez cienia jakichkolwiek przeczuć. Odstąpiłem grzecznie część oficjalną, ani za bardzo z przodu, ani z tyłu, ruszyłem do stołu w porę, aby dobrać się do głównych dań, ale i z wyczuciem, by nie wyglądało, jakbym przyszedł na imprezę tylko po to, by się najeść. Załadowałem, co było do załadowania, pobrałem zawinięte w serwetkę sztucze i udałem się w cichy kącik celem spokojnej konsumpcji. W cichym kąciku stało kilku emerytów z Warszawskiego Towarzystwa Bankietowego. Tak nazywano dziadków z wizytówkami jakichś, nie wiadomo czy w ogóle istniejących, lokalnych gazetek, którzy, choć nikt ich nigdy nigdzie nie zapraszał, zjawiali się na każdym iwencie w stolicy, tym liczniej, im lepszy się szykował catering. Towarzysko byli całkowicie nieszkodliwi, więc nie widziałem powodu, by nie stanąć obok nich. Kiedy zorientowałem się, że facet, z którym bankietowicze wiedli ożywioną dyskusję, to Jonasz, było już za późno.

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, obrócił się ku mnie, jakby jakiś szósty zmysł zasygnalizował mu moją obecność. Uśmiechnął się szeroko i przepraszając dotychczasowych rozmówców, ruszył w moją stronę.

Zupełnie nie wyglądał na bankruta. Nie chodzi o kosztowny garnitur i sygnet — podtrzymywanie w sytuacjach kryzysowych zewnętrznych znamion powodzenia należało do elementarza biznesmena. Wszystkiemu, co na temat sytuacji Jonasza wiedziałem, przeczyła jego pewność siebie i wypisane na twarzy zadowolenie.

Odpowiedziałem na wylewne powitanie, potwornie zażenowany i zakrztuszony, usiłując szybko pogryźć i przełknąć kanadyjską roladkę; jak na złość spowijający śliwkę boczek okazał się wyjątkowo ciągliwy, a tryskający z niej sok parzył boleśnie usta.

— Jonasz, wiem, że to zabrzmi głupio... — wykrztusiłem w końcu, uporawszy się zjedzeniem.

— Zabrzmi — zaśmiał się. — Więc lepiej sobie daruj.

— Jakby się na mnie ktoś zawziął. Ile razy próbowałem do ciebie pojechać, uwierz mi, coś się...

— Wierzę. Daj spokój, Opatrzność wie, co robi. Nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrze wyszło, że nie przyjechałeś.

Wcale nie wydawał się mieć do mnie żalu.

— Aaa... To nie masz do mnie żalu?

— Ani trochę — ujął mnie za łokieć i delikatnie skierował, o dziwo, wcale nie w bardziej dyskretne miejsce, tylko ku środkowi sali. — Owszem, jeszcze przez parę dni byłem wściekły, że niepotrzebnie mi zawracałeś głowę. Ale potem się wszystko wyjaśniło. Właśnie... specjalnie tu przyszedłem, żeby z tobą pogadać.

— Skąd mogłeś wiedzieć, że tu będę?

Uniósł prawą dłoń gestem, który w czasach szkolnych znaczył: „spoko”.

— Wiesz, jeśli sprawa jest aktualna — podjąłem — to nie siedziałem wcale tak zupełnie beczynnie. Mam parę pomysłów...

— Nie, nie. O tamtym można zapomnieć. Ja teraz, chłopie, prosperuję. Wszystko ruszyło jak z kopyta, żebyś widział te tłumy.

— To gratuluję. Jak ci się to udało?

— Łaska Boża, po prostu. Byłem głupi i nie wiedziałem, że próbuję się przeciwstawić człowiekowi, którego Bóg nam zesłał dla ratowania narodu. Ale w porę przejrzałem na oczy. I przyszedłem do ciebie z dobrą nowiną, żebyś ty też przejrzał.

Jedzenie, z takim trudem wyrwane sprzed gąb wygłodzonego tłumu, zsunęło się z talerzyka na ziemię.

— Nic nie mów — poradził dobrotliwie. — Potem sobie to wszystko starannie przemyślisz. Widzisz, chłopie, gdybyś do mnie przyjechał, nie uszłoby twojej uwagi, do kogo należy ten konkurencyjny sklep. Podzwoniłbyś, popytał, i zobaczyłbyś, że to zaczątek sieci, w którą inwestuje Grzyb...

— Grzyb?

— No, Radio... Wiesz chyba.

— Ksiądz Grzybowski?

— No. U nas się mówi Grzyb... — zamieszanie wokół, wywołane moim upuszczeniem zawartości talerzyka, zakończyło się nagle, kelnerzy zniknęli. Jonasz popatrzył za nimi jakby z rozczarowaniem, ale płynnie mówił dalej. — Na pewno zrobiłbyś szum właśnie wokół tego, liberalne media zaraz zaczęłyby się doszukiwać afery. Wiesz, jaką nagonkę rozpętała masoneria na Grzyba i mnóstwo ludzi ciągle jeszcze jest tym ogłupionych. Dlatego ci mówię, że się dobrze stało. Wyroki Pańskie zawsze nas wiodą ku temu, co dobre, i trzeba się im podporządkować.

Najbardziej zdumiewające było dla mnie to, że w te misjonarskie kawałki wpadał zupełnie płynnie, ani intonacja, ani wyraz twarzy nie zmieniały mu się ani na jotę.

— Jak Rany Boskie, Jonasz...

— Nie wzywaj imienia nadaremno, chłopie. Dobrze ci radzę.

— Jak... Nieważne. O kim mówisz: „my”? To znaczy, dla kogo ksiądz Muchomorek jest „Grzyb”?

Popatrzył na mnie wzrokiem, w którym, wydawało mi się, był jakiś cień zrozumienia.

— Wszystko zrozumiesz. Powiem tyle: Radio Alleluja to jest wielkie dzieło Boże i każdy, kto je wspiera, może liczyć, że Pan mu będzie sprzyjał. A kto go nie wspiera, nie może na to liczyć. Proste. Błądziłem, nie wstydzę się do tego przyznać, bo wielu błądzi nadal i ty w tej liczbie. Ale chciałeś mi pomóc, więc ja ci też pomogę. Jest świetna praca, do której się doskonale nadajesz. Oczywiście, musisz najpierw przejrzeć na oczy.

— Chcesz powiedzieć, nawrócić się na wiarę w Ojca Dyrektora? I zacząć pieśczośliwie mówić na niego „Grzyb”? Dziękuję, Jonasz...

— Nie dziękuj. W ogóle nic na razie nie mów, przecież prosiłem. Popatrzysz, zrozumiesz, podejmiesz decyzję. Ja też się nie od razu zdecydowałem.

Położył mi rękę na ramieniu, drugą podsuwając wizytówkę.

— Łaska Boża zmienia serca najbardziej zatwardziałyich grzeszników. Na własne oczy ujrzysz dowody, i to już niedługo, niewierny Tomaszu. Zadzwoń wtedy.

Dłuższą chwilę obracałem w ręku elegancki kartonik, na którym większość miejsca zajmował nagłówek: „Ad Sanctas — Stowarzyszenie Wspierania Radia Alleluja w Służbie Bogu w Trójcy Jedynemu, Maryi Zawsze Dziewicy i Narodowi Polskiemu”. Mniejsze literki pod imieniem i nazwiskiem Jonasza precyzowały: „Klub biznesmena”.

Wydawało mi się wtedy, że świat zwariował. Wydawało mi się. Naprawdę zwariował dopiero następnego ranka, kiedy do mediów trafiło oświadczenie Urbana, że zrywa z dotychczasowym grzesznym życiem, a dla pokuty oddaje wszystkie aktywa i medialne siły do dyspozycji Ojca Dyrektora, którego „orędownictwu u Najświętszej Matki zawdzięcza cudowne ocalenie i nawrócenie”. Ostatnie zdanie zacytowałem wiernie z jego oświadczenia, które wstrząsnęło całą Polską, że o sobie już nawet nie wspomnę.

* * *

Niektórzy próbowali słabo wieszczyc, że to na pewno jakiś superwyglup i prowokacja starego libertyna, że poczekajcie, jeszcze zobaczycie, on wywija jakiś numer stulecia i temu

podobne — ale było to tylko bezsilne zaklinanie rzeczywistości. Michnik w sążnistym wstępniaku do „Wyborczej” pisał coś w tym guście, że nikomu nie wolno odmawiać prawa do zmiany poglądów, zwłaszcza w obliczu spraw ostatecznych, ale w tym konkretnym wypadku jednak by należało. Następnego dnia opublikował na pierwszej stronie list krakowskich intelektualistów, zatytułowany: „Wyznaniowy faszyzm nie przejdzie”. Najgorzej mieli działacze lewicy — w większości chowali się przed dziennikarzami w najdalsze kąty, a przyciśnięci do ściany albo klepali formułki o niewsadzaniu nosa w cudze prywatne sprawy, albo brutalnie tłumaczyli wszystko starczą demencją, albo wreszcie ściszym głosem nazywali Ojca Dyrektora niebezpiecznym hipnotyzerem. Z całego tego towarzystwa nie położył po sobie uszu bodaj tylko jeden Małachowski. Przeciwnie, perorował jak w natchnieniu, choć trochę od rzeczy — że gdy przyjdą go zamordować pravicowi siepacze, powita ich z jasną twarzą i podniesionym czołem, a z jego krwi wyrosną w przyszłych pokoleniach kwiaty tolerancji.

W obozie przeciwnym natomiast zapanowało szaleństwo. Staruszki po kościołach zupełnie już bezwstydnie modliły się bezpośrednio do Świętego Muchomorka Cudotwórcy zamiast do jakiegoś tam ukrzyżowanego Żyda. Posłowie Ruchu Odrodzenia Narodowego „Alleluja, do Przodu Ojczyzno” zgłosili nawet projekt wiernopoddańczej rezolucji, w której Sejm wyrażał wdzięczność Ojcu Dyrektorowi za zainicjowanie moralnej odnowy Narodu. Wniosek o wprowadzenie projektu na porządek dzienny wprawdzie odrzucono, ale ledwie kilkunastoma głosami, przy stu pięćdziesięciu wstrzymujących się. Trudno było o bardziej dobitne pokazanie, jak bardzo podupadł duch w tych, którzy jeszcze parę miesięcy temu widzieli w szefie Radia Alleluja tylko wdzięczny obiekt do kpin. Mówiło się wręcz, że dwudziestoparoposobowy klub poselski RONAdPO w najbliższych dniach powiększy się dwu-, trzykrotnie, zasilony przez uciekinierów z innych ugrupowań — i nawet, że chętnych byłoby znacznie więcej, tylko Ojciec Dyrektor zapowiedział przeprowadzenie surowych weryfikacji i wyznaczenie każdemu nawróconemu posłowi stosownych pokut.

Słuchałem o tym wszystkim, niezdolny się zwlec z tapczanu, czując jeszcze ślady kaca po wczorajszym jubileuszu. Tyle że zamiast tupotu białych mew prześladowało mnie echo głosu Jonasza, powtarzającego z uroczystą intonacją nawiedzone teksty o łasce Bożej, która kruszy serca najbardziej zatwardziałyh grzeszników.

W całej sprawie nijak nie można było się doprosić konkretów. Co dokładnie zagroziło życiu Urbana, w jakim to cudowny sposób ocalał i co miał z tym wspólnego Grzybowski; jak zwykle fakty interesowały moich kolegów po fachu najmniej. Za to komentarze pienity się nad wyraz bujnie. Po paru godzinach w tych komentarzach histeryków zaczęli zastępować faceci, apelujący o zdrowy rozsądek, co było tylko dowodem, że histeria przechodzi na nowy, wyższy poziom. Zacząłem też w tonie niektórych wypowiedzi wyłapywać frazy, podobne do tych, używanych przez Jonasza. To było logiczne — duże nawrócenie pociąga za sobą szereg mniejszych.

W końcu w którymś programie tekstem o moralnej odnowie narodu i nieocenionym wkładzie w nią Ojca Dyrektora pojechał mi facet, który jeszcze niedawno demaskował mnie jako narzędzie w ręku rozpanoszonego, pazernego kleru, dążącego do budowy państwa wyznaniowego. Sięgnąłem po pilota, żeby go uciszyć. Sam już nie pamiętam, specjalnie czy niechcący, nacisnąłem przy tym klawisz, pod którym zakodowane było Radio Alleluja.

„...le Boży, Stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy...”, recytował miarowo chór dziecięcych głosów. W repyzie głosy dzieci zastąpione zostały chórami matek, potem modlitwę powtórzyli ojcowie. A potem wszyscy jeszcze raz, razem. I dla odmiany — „Zdrowaś Mario”. Nie można zaprzeczyć, robiło to wrażenie. Ojciec Dyrektor nazwał to Modlitwą Rodzin. Potrafili tak godzinami. Prowadzący audycję podnieconym głosem wyrzucał z siebie, pomiędzy paciorkami, nazwy kolejnych miast, parafii i wiosek, które właśnie dołączyły do wspólnej modlitwy. Od czasu do czasu wymieniał co

znaczniejszych gości także z nazwiska. Niekiedy przez telefon dawał poprowadzić jedną czy drugą „Zdrowaśkę” jakiemuś profesorowi albo artyście (kiedy, u cholery, zastanawiałem się, zdążyło się ponawracać tyle gwiazd rocka?), kiedy indziej tego zaszczytu dostępowo było jakieś pachole lub prosta wiejska niewiasta.

Wreszcie oznajmił radośnie, że ich liczba rośnie z dnia na dzień i kazał wszystkim pozostać przy odbiornikach. „Czytaj »Gazetę Narodową«, czytaj »Gazetę Narodową«,,, zaśpiewały rytmicznie nieznoszące sprzeciwu głosy. „Czytaj »Gazetę Narodową« i kupuj w sklepach Sanctas”. I znowu: „Czytaj »Gazetę Narodową«...”. Tak przez parę minut. Nie wiem, ile — w końcu wyłączyłem, żeby odebrać telefon.

— No i co, niedowiarku? Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Nie odpowiedziałem.

— Nie zapytasz mnie, co będzie dalej?

— Co będzie dalej?

— Przez telefon ci nie powiem. Jeśli chcesz wykorzystać ostatnią szansę, spotkajmy się przy piwie.

— Postawisz?

— Byle nie w żadnej drogiej knajpie. Najlepiej bądź za godzinę w „Tramwaju”.

* * *

— Nie myśl, że mi brakuje kasy — zastrzegł od razu, kiedy stanęliśmy z pełnymi kufłami przy tramwajowej poręczy. — Chodzi o tłok. W drogich knajpach jest zawsze cholernie luźno. A jak się chce szczerze pogadać, to tylko w tłoku. Jak największym.

Rzeczywiście, jeśli chodzi o tłok, „Tramwaj” był najlepszym z możliwych miejsc. Użytkowa część knajpki miała może trzy metry na półtora, o żadnych stołach i krzesłach nie było tu mowy. W przeciwległym do wejścia końcu służyła za szynkwiasz szara, wysoka do pasa skrzynia z metalu, ozdobiona trupią czaszką i piorunem wysokiego napięcia na zalutowanych drzwiczkach. Resztę pomieszczenia porządkowały pionowe i poziome czarne rury. Na tych poziomych, biegnących pod sufitem, zwisały skórzane pętle do zahaczenia dłoni. Z pionowych wyrastały na pewnej wysokości laminowane półeczki, bardzo wąskie — jak raz na postawienie kufła albo popielniczki. Pozwalało to stłoczyć w malutkiej sali nawet kilkudziesięciu amatorów piwa, bardzo tutaj, jak na Warszawę, taniego.

— Dlaczego? — zapytałem, starając się nie zwracać uwagi, że co chwila ktoś trąca mnie łokciem albo ramieniem i że każdym zdaniem trzeba przekrzykiwać jednostajną, pijacką wrzawę.

— Nie mam pojęcia, dlaczego. Ale w tłoku nie są w stanie cię pilnować tak dokładnie jak zwykle. Można się swobodnie napić. Nawet nie wiem, kto to pierwszy zauważył, ale się sprawdza, jeszcze nikt nie miał upomnienia za coś, co powiedział w takim miejscu jak to.

— Upomnienia?

— No, przecież wiesz. Robisz coś, czego On sobie nie życzy, albo, co gorsza, nie robisz tego, czego sobie życzy, i natychmiast zdarza się coś, co ma cię naprowadzić na właściwy szlak. Oko Na Niebie czuwa. I Ucho też.

— No dobra — jakiś grubas przepelzł po moich plecach, zionąc mi w kark zapachem, który na pewno nie był wodą kwiatową. — Więc póki Ucho Opatrzności nie słyszy, mów, co będzie dalej.

— Kolejne sensacyjne nawrócenia — uśmiechnął się szeroko. Nic nie sprawia przeciętnemu Polakowi większej satysfakcji, niż bycie choć przez chwilę tym, który wie lepiej i objaśnia sprawy gorzej zorientowanym. Jonasz nie stanowił wyjątku. — Coraz bardziej masowe. Przede wszystkim w Sejmie i w Ministerstwie Skarbu Państwa. Zmiana Konstytucji. Będzie się gadać głównie o preambule, ale tak naprawdę chodzi o artykuły o partiach i

stowarzyszeniach. Lustracja gospodarcza, renacjonalizacja sprywatyzowanych przedsiębiorstw, ustawa o tożsamości i suwerenności narodowej, weryfikacja umów międzynarodowych, a potem sąd nad tymi, którzy dopuścili się zdrady interesu narodowego przy ich podpisywaniu... Na ile czasu naprzód chcesz wiedzieć? Bo Grzyb ma wszystko przygotowane na jakieś trzy, cztery lata. Możesz mi wierzyć, rozmawiałem z ludźmi, którzy mu pisali konkretne projekty i zarządzenia.

— Jonasz... Nie jestem w stanie zrozumieć, jak wy to robicie...

— Obudź się wreszcie, chłopie. Ręka Boska to robi, nie żadni „my”. Ręka Boska. Kto jej staje na drodze, tego ta ręka najpierw ostrzega, a w końcu, jeśli się okazuje zatwardziały, bije w pysk. Wybór masz tylko taki, czy załapiesz się jeszcze pomiędzy tych, którzy zaczęli nad swą formacją pracować w porę, czy będziesz musiał potem zaliczać pokuty. Albo pozostać tam, gdzie będzie płacz, zgrzytanie zębów i ordnung jak na odwachu. Chciałeś mi pomóc, więc ci to tłumaczę, żebyś się zdecydował w porę, ale nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Milczałem, więc Jonasz, przepłukawszy usta, perorował dalej:

— Zdarza się człowiekowi, że zostanie wybrany. Powołany. A czasem dotyka to całych narodów. Między nami i w tym ścisku możemy sobie pozwolić na taką herezję, że to bardzo przesrana rzecz, być wybranym. Czytałeś Biblię? Nie musisz udawać, ja też przeczytałem dopiero teraz. Czy Żydom się chciało do Ziemi Świętej? Ni wała im się nie chciało. Ale poszli? Poszli — nie wiem, czy Jonasz celowo parodiował katechizmową retorykę mówców z Radia Alleluja, czy po prostu tak już nią nasiąknął. — A dlaczego? Bo Pan zesłał im swojego proroka i pokazał sukinsynowi, jak robić cuda. Jasny szlag, pytasz mnie, jak Grzyb to robi? Powiem ci, jak on to robi: skutecznie. Wystarczy ci? Kiedy się przyczepi, masz sto razy gorzej przechłapane niż z rekieterami. Nawrócisz się, choćby ci się nie wiem jak nie chciało. A dopóki się ociągasz... Nie będę ci opowiadał, co przeżyłem, zanim zgłosiłem akces do Sanctas.

— I namawiasz mnie do tego samego?

— Bo też masz przechłapane, idioto! — krzyk Jonasza na chwilę przebił się przez otaczający gwar, aż on sam zamilkł i rozejrzał się lękliwie.

— Też masz przechłapane — podjął już ciszej, kiedy nic się nie zdarzyło. — Usiłowałem ci to wytłumaczyć, ale niby jak, kiedy człowiek musi uważać na każde słowo. Od momentu, kiedy się do mnie zgłosiłeś, mają na oku i ciebie. I nie odpuszczają.

Westchnął ciężko.

— Zauważyliśmy — podjął po chwili, przepuściwszy jakiegoś przeciskającego się do baru gościa — że to dotyczy bardzo wąskiej grupy ludzi. My mówimy: powołanych. Takich, którzy naprawdę coś mogą i są Grzybowi potrzebni. Ci tu — potoczył nieznacznie kuflem dookoła — nawet sobie tego nie wyobrażą. To mierzwa ludzka. Trzeba ich zapędzić do chóru, sławiącego Pana, i tyle. Powołani mają gorzej. Gdybym to wiedział, sprzedałbym w porę ten cholerny sklep. Ale skąd mogłem? Wlałem im w drogę. I ty też im wlałeś w drogę. A kiedy im człowiek wejdzie w drogę, to może już tylko jedno. Wiesz, co?

— Przyłączyć się?

Odpowiedział tylko skinieniem głowy, bo znowu musieliśmy się rozsunąć — ten sam gość parł z powrotem, niosąc naręcze kufli.

— To był pierwszy wniosek, do którego doszedłem. Ale po jakimś czasie ogarnąłem całokształt sytuacji. Co straciłem na tym, że jestem teraz u Grzyba? Płacę dużo kasy, fakt. Ale dzięki temu zarabiam jeszcze więcej. Teraz sytuacja się odwróciła. Wszystkie te przykre rzeczy zdarzają się tym, którzy mi przeszkadzają w interesach, choćby nawet nieświadomie. Ja prosperuję.

— Aha. Kij już omówiliśmy, pora pogadać o marchewce — mruknąłem, ale albo mnie nie dostyszał, albo zignorował.

— Masz wątpliwości, po której stronie jest słuszność? Przecież Grzyb, cokolwiek o nim mówić, przynajmniej skończy z tymi aferzystami. Przy takich wpływach, jakie ma u Opatrzności, kraj też tylko na tym zyska — popatrzył na mnie, jakby chciał poznać po minie, co o nim sądzię. — Tu chodzi o wielkie sprawy, chłopie. Polska to tylko początek. Przez Polskę nadchodzi wielkie, moralne odrodzenie dla całego świata. Przyszło nam żyć w przełomowych czasach, żeby je szlag trafił, i nic na to nie poradzimy. Każdy by wołał przed tym uciec, doskonale cię rozumiem: zabunkrować się wśród menelstwa, pić piwko i nie być w to zamieszany. Ale skoro się tak nie da, to zapytaj siebie sam: chcesz być po stronie Boga czy Szatana?

Na tak bezlitośnie postawione pytanie trudno mi było odpowiedzieć.

— Wiesz, Jonasz. Ja jestem wierzący. Ale... No wiesz, może nie tak... Nie z takim...

— Toczy się bitwa o prawdę, chłopie, i trzeba się przyłożyć do zwycięstwa słusznej sprawy. Ten, kto nie ma innych możliwości, niech się modli albo szuka zasługi, no, jakby to... jakoś osobiście. Ale my, uważasz, mamy inne możliwości. Oczywiście, trzeba uważać, żeby tych maluczkich nie zgorszyć, nie dać im złego przykładu, ale jak się na przykład jest u nas w klubie i płaci regularnie, to można sobie, no.

Zdaje się, że w tym miejscu zgubił wątek, nie pamiętam dokładnie, bo akurat skończyło mi się piwo i odruchowo sięgnąłem do kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy na następne. Pieniądzy tam nie było, za to moja ręka natrafiła na jakieś pomięte papiery. Wyciągnąłem je odruchowo. To były reklamówki agencji towarzyskich, wygarnięte przy ostatnim parkowaniu z za wycieraczki Srebrnego Szerszenia.

— Wyglądasz — Jonasz skorzystał z okazji do zmiany wątku — jakbyś chciał o coś zapytać.

— Tak. Kupisz jeszcze jedno piwo? W ramach poprawiania swojego bilansu dobrych uczynków?

— Nie ma sprawy — zaczął z wysiłkiem gramolić się z wygodnego kata pomiędzy kolankiem poręczy a ścianą. Popatrzył, co trzymam w ręku.

— Trzeba z tego korzystać, i to szybko — stwierdziłem, chowając miniaturowe fotki dziwek do kieszeni. — Zanim z tym waszym Grzybem wszystko polikwidujecie.

— Aleś ty głupi, chłopie — zirytował się. — Nasz przewodniczący klubu biznesmena, mówiąc między nami, to jak myślisz, w czym robi? Mniejsze zło, już święty Augustyn pisał, że byle dyskretnie... A poza tym to czysto krajowy kapitał.

Wcisnął się z pustymi kuflami w tłum, pozostawiając mnie w narastającym poczuciu bezsilnego buntu. Im bardziej beznadziejnie rysowała się sytuacja, tym bardziej coś się we mnie nie chciało z nią pogodzić. Trzeba działać, drukować ulotki, uciekać do lasu i szykować się do wysadzania pociągów, no, zrobić coś, krzyczała szlachetniejsza część mojej duszy. I to najlepiej od razu, dopóki jesteśmy w tłoku, gdzie Ucho i Oko Opatrzności ma kłopoty z inwigilacją, dodawała część, obdarzona większą przezornością.

Pomyślałem o Proroku.

— Cześć! Słuchaj, mam prośbę — w knajpianym szumie musiałem przyciskać komórkę do głowy z taką siłą, że omal nie wtoczyłem jej sobie na płask w czaszkę. — Wiesz, szukam kontaktu z kimś z Episkopatu. Jak najwyżej można...

— Myślisz, że ktoś tam teraz ma głowę rozmawiać z dziennikarzami?

— A dlaczego nie?

— To nie słyszałeś, że Prymas miał wypadek?

— Co? Możesz mówić głośniej?

— Podobno złamało się pod nim krzesło, tak niefortunnie, że pękła mu miednica. Jest kompletnie unieruchomiony. Mówią, że...

Tu Prorok ściszył głos. Równie dobrze mógłby w ogóle się rozłączyć.

— Nic nie słyszę, jak rany! Mów głośniej!

— To tylko plotki! — wrzasnął. — Ale podobno to się stało, kiedy chciał podpisać powołanie specjalnego zespołu do nadzoru nad Radiem Alleluja. Biskup, który miał tym zespołem kierować, rozbił się na E22 w drodze na konferencję plenarną, cud, że się nikomu nic nie stało. A metropolita lubelski podobno od paru miesięcy nie może dotrzeć do Warszawy. Nikt nie wie, co się dzieje, nie może po prostu wyjechać z Lublina...

Temu, kto zaprojektował zdobiące wnętrze „Tramwaju” poręcze, prawdopodobnie nie przeszło nawet przez myśl, że ktoś kiedyś będzie aż tak bardzo potrzebował się o nie oprzeć, jak ja w tej chwili.

* * *

Olśnienie przyszło tego samego dnia późnym wieczorem.

Zadziałało na moją korzyść podstawowe prawo fizjologii, na mocy którego mózg niedopitego mężczyzny pracuje szybciej niż w jakichkolwiek innych okolicznościach. Musi tak pracować, żeby mężczyzna zdołał wykombinować, skąd by tu wziąć jeszcze jedną flaszkę i ocalić tym samym swoje szansę ewolucyjne.

Piwa, zaabsorbowane w „Tramwaju”, wsiąkały powoli w organizm i ulegały metabolizmowi. Nie można było tego powiedzieć o uzyskanej tamże wiedzy. We łbie dudniło mi jak w starej beczce po benzynie lotniczej. Z wizją powszechniej, wymuszonej cnoty i szczęśliwości pod rządami Moralnej Odnowy księdza Muchomorka mogłem się ostatecznie pogodzić. Z myślą, że Pan Bóg mógł pójść na takie świństwo — za nic. To było nie do przyjęcia. Niestety — wymowa faktów była całkowicie jednoznaczna i porażająca.

W końcu dałem spokój beznadziejnym poszukiwaniom niedopitej butelki na dnie którejś z szaf, co do których wiedziałem doskonale, że można tam znaleźć wszystko, ale niedopitego alkoholu na pewno nie, bo coś takiego po prostu w mojej okolicy od dawna już nie istniało. Usiadłem ciężko, wodząc po pokoju wzrokiem obitego psa, aż w końcu moje spojrzenie zatrzymało się na poszarzałej od kurzu miniwieży. Machinalnie sięgnąłem po pilota i zatrzymałem rękę w pół ruchu, przypomniawszy sobie, że tuner jest nastawiony na Radio Alleluja. Przypomniała mi się dudniąca, nieodparcie pawłowowska reklama „Czytaj gazetę, kupuj w Sanctas”, Modlitwa Rodzin, a w końcu chór dziecięcych głosów „Aniele Boży, Stróžu mój”...

Zamarłem w bezruchu na kilka długich sekund.

Stróžu mój?

— Tu draniu! — rozdarłem się, zrywając z wrzaskiem. — Mam cię! Wyłaż! No wyłaż, słyszysz!?

Oczywiście nikt mi nie odpowiedział. Mimo to rzucałem się wściekle z kąta w kąt, jakbym miał nadzieję zdybać go, przyczajonego za szafą albo pod tapczanem.

— Mam cię! Przejrzałem was na wylot! Wszystko wiem! Wyłaż w tej chwili, no już! Strach cię obleciał?!

Musiałem wyglądać jak kompletnie sfiksowany, ale brak widocznego efektu tylko mnie jeszcze bardziej rozsierdził.

— Co, boisz mi się teraz pokazać na oczy? Tak? Czekaj... — rzuciłem się do schowka po linę do holowania samochodu. — Dobrze, że się boisz. Powieszę się i wszystko im tam powiem. Wszystko. Nie przeszkodzisz mi. Wiesz, co z tobą zrobią? — dyszałem, zaplatając pętlę na sposób, zapamiętany z westernów. — Pan na niebiesiech powyrywa ci, oszuście, wszystkie pióra z dupy!

Prawdę mówiąc, wątpię, czy byłbym w stanie spełnić te pogróżki. Nie byłem w ogóle pewien, czy mają sens. Gdyby miał mocniejsze nerwy, biegałbym jeszcze parę minut i wrzeszczał, póki bym się nie zmachał. Ale widocznie wyglądałem na bardziej zdesperowanego.

— Nie odważysz się — usłyszałem nagle.

— Chcesz zobaczyć?! — ryknąłem z triumfem. — Albo wyłazisz natychmiast, albo...

— Dobrze już, dobrze! — zawołał z wyraźną paniką w głosie. — Tylko się uspokój...

Powietrze w rogu pokoju wyduło się, zafalowało, jakby na chwilę zamieniło się w idealnie przejrzystą soczewkę. Soczewka zamieniła się w szklaną figurę, figura wypełniła się barwami — nie trwało to nawet sekundy.

Choć stał nieruchomo, wyglądał jakoś zwiewnie, bez — cieleśnie. Wgapiąłem się, jak przeświecają przez niego zasłony i pionowe rury ogrzewania koło okna. Zdaje się, że z wrażenia usiadłem ciężko na fotelu. Jeśli nie liczyć skrzydeł i czegoś w rodzaju koszuli nocnej, aż opalizującej białą, wyglądał tak samo jak ja. Poza jednym — tuszą. W przeciwieństwie do mnie, był szczupły. Nawet więcej — chudy. Wręcz przeraźliwie chudy. Szczerze mówiąc, kiedy się dokładniej przyjrzało, sprawiał wrażenie chorego na anoreksję albo świeżo wypuszczonego z Auschwitz.

Westchnął ciężko, jakby się miał zaraz rozplakać.

— To najsurowiej zabroniona rzecz, jaką tylko mogłem zrobić. Nie wolno nam się pokazywać. W żadnym wypadku. Przez ciebie...

— A podstawić podopiecznemu nogi to wolno? Organizować nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, wypadki i cuda, żeby tylko nabić Grzybowskiemu kabzę? Co?

Patrzył gdzieś w ścianę, milcząc ponuro.

— To wszystko przez Hazdraela — mruknął.

— Kogo?

— No, Anioła Stróża tego waszego księdza...

— Strasznie po żydowsku się nazywa. Ciekawe, czy Ojciec Dyrektor o tym wie. Zignorował moje słowa.

— I przez ciebie. Tak, tak — wbił we mnie oskarżycielskie spojrzenie. — Gdybyś się lepiej prowadził, nie dałbym się im przekabacić. A ty żyjesz jak świnia! Widzisz, jak wyglądam? Kiedy ostatni raz się pomodliłeś? Albo byłeś w kościele? Chłasz, zadajesz się z jakimiś...

— No dobrze, dobrze — spróbowałem łagodniejszego tonu. — Wiem, z kim się zadaję... mniej więcej.

Machnął z rezygnacją ręką, a potem przysiadł na telewizorze.

— Żebyś tam był wyjątkiem... Wszyscy się świnicie na potęgę, zero bojaźni Bożej. Nie pamiętam równie podłych czasów. A potem pretensje, że się dajemy skorumpować.

— Jak można, na litość Boską, skorumpować Anioła Stróża?

Wzruszył skrzydłami, aż po ścianach pokoju przebiegły świetlne refleksy.

— No wiesz... Anioł jest tylko aniołem.

— To już mniejsza. Chodzi mi o to, czym... no, przecież pieniędzy wam Grzybowski nie daje? Więc co?

— Modlitwy. Duchową energię. Jest nam tak samo potrzebna jak tobie jedzenie. Taka Modlitwa Rodzin, jakie on u siebie organizuje: sto tysięcy ludzi w jednej wspólnotce, przez godzinę, dwie... Dla mnie to coś takiego, jak dla ciebie Fort Knox. Zwłaszcza w tych czasach, kiedy prawie wszyscy biedują, tak jak ja przy tobie. Kiedyś nikt by się nie dał skusić nawet papieżowi, była jakaś etyka zawodowa... No, ale teraz wszystko schodzi na psy. Po naszej stronie, co tu gadać, też.

Nagle zrobiło mi się go potwornie żal.

— I nie macie tam nad sobą żadnej kontroli?

— Jasne, że mamy. A wasi gliniarze czy sanitariusze to niby nie mają? I co?

— Ale wy macie słaby punkt. Dobrze trafiłem, prawda? Jeśli ktoś się przekręci, trafi do świętego Piotra i wszystko mu wykabluje, to po was. Stąd te cuda z ocalaniem życia.

— Ech, wy, ludzie... Rakiety księżycową umieli zbudować, w genach grzebią, a zaświaty wyobrażają sobie nadal jak ostatnie średniowieczne prymitywy. Myślisz, że jeden święty

mógłby nastarczyć na taką masę delikwentów? Z czasem zrobiła się z tego cholerna biurokracja, jak wszędzie. Musiałby taki ktoś po pierwsze wiedzieć, co się dzieje, a nie każdy jest taki sprytny jak ty, a po drugie, do kogo z tymi wiadomościami uderzyć, a to nie jest takie proste — popatrzył na mnie podejrzliwie. — Ty wcale nie wiedziałeś, że tylko przy samobójstwach dyscyplinarka dla opiekuna leci z automatu, co? Dałem się nabrać... Nie ciesz się tak, to wcale o tobie dobrze nie świadczy, że ci przydzielili anioła nieudacznika.

— Nie miej do siebie żalu, mogłem wiedzieć. Mógł mi powiedzieć Jonasz w „Tramwaju”.

— Eee, to bzdura z tym tłokiem. Tak się chłopcy po — umawiali, że nie będą korzystać... Żeby się ci faceci, co o nas wiedzą, też od czasu do czasu poczuli swobodnie i mogli wygadać, co naprawdę myślą. Zresztą nieważne, tak czy owak, w końcu to się musi wydać. Hazdrael jest zbyt pazerny. Gdyby grzecznie spełniał swojemu pobożnisiowi życzenia i nie przesadzał, mógłby prosperować jak wielu przed nim. Mówili mu mądrzy aniołowie wielokrotnie, że przegina. Wciągnął zbyt wielu kumpli do interesu, stracił nad tym panowanie... No i teraz rzeczywiście trudno będzie przekonać górę, że to naturalne. Prędzej czy później się dogrzebią.

— Niczego się nie będą musieli dogrzebywać. Sam im wszystko powiem.

— Wybij to sobie z głowy — jego głos zabrzmiał nagle niezwykle stanowczo. — Mowy nie ma.

— Oczywiście, że powiem. Trzeba z tą paranoją jak najszybciej skończyć! Gdzie ta cholerna lina?

Tym razem nie umiałem tego zagrać przekonująco. Patrzył z drwiącym uśmiechem, jak pajacują z pętlą.

— No? — zachęcił mnie uprzejmie.

— Są inne sposoby. Dostanę się do Prymasa... Cholera, do samego Papieża.

— Daleko. I mnóstwo się może zdarzyć po drodze.

— Muszą być jacyś ludzie, którzy mają... bezpośredni kontakt. To znaczy, kiedy się modlą, to są, no... odbierani przez samego... Jak wy mówicie, Szefa?

— Pewnie, że są tacy. Akurat niekoniecznie bym ich szukał wśród hierarchów, ale są. Tylko że ty do żadnego z nich nie dotrzesz. Wbij to sobie do łba raz na zawsze i nie zmuszaj mnie, żebym zaczął być brutalny.

Wyglądał na naprawdę rozeźlonego, pióra na skrzydłach nastroszyły mu się jak szczotka.

— Posłuchaj — zacząłem pojednawczym tonem. — Przecież jesteśmy po tej samej stronie. Sam mówiłeś, że w końcu się to wyda. Przegięliście. Prędzej czy później ta wasza kontrola się do was dobierze. Trzeba to przerwać jak najszybciej, szkoda tego kraju. Pomyśl, ilu przez tego cholernego Grzyba odpychacie od wiary porządnych ludzi, przecież powinno ci zależeć...

— Nic nie rozumiesz! Kumple by mnie zniszczyli. Wolę grzecznie czekać, co będzie, w razie czego gniew szefostwa skrupi się na organizatorach. I ty też siedź cicho, płac ofiary na radio i nie szkodź mi, to ja nie będę szkodził tobie, okej? Nie masz prawa na mnie narzekać. Musisz przyznać, że cię oszczędzałem, chociaż do kościoła chodzisz tylko na pogrzeby i śluby. Załatwiłem, co miałem załatwić, tak żeby ci nie zrobić krzywdy. Nawet miałeś z tego sporo radochy, nie udawaj!

Rafał A. Ziemkiewicz

— O, a to jak się wyda, to ci dopiero przypierdzielą! Anioł Stróż sutenerem!

Parsknął pogardliwie.

— Akurat się znasz! Szantażysta za dychę... Za to najwyżej mnie pochwalą. Baba była gotowa na pierwszego, kto się trafi, polecieć jak szafa bez nogi. Gdybyśmy razem z jej opiekunem nie podstawili ciebie, skończyłoby się to rozwodem, draką o podział majątku, dzieci by straciły dom... A z tobą, nie czuj się dotknięty, jaka kobieta wiązałaby nadzieję na

cokolwiek więcej niż przeborsuczenie weekendu? Czasem te sprawy trzeba tak właśnie załatwiać.

Może miałem huśtawkę nastrojów, jak to po większym piwie — w każdym razie zdołał mnie tym tekstem z lekka zdołować. Dłuższą chwilę siedziałem wpatrzony ponuro w purchel na podłodze. Potem nagle przepełniło mnie poczucie dziwnej otuchy i ulgi, aż uniosłem głowę. Stał teraz tuż obok, otaczając mnie skrzydłami, jak na obrazku w katechizmie.

— Głowa do góry — powiedział. — Jakoś się przez to prześlizgamy.

— Nie, nie — nie mogłem się pogodzić. — Poczekaj chwilę. Musi być sposób.

Poderwałem się i zacząłem nerwowo krążyć po pokoju.

— Mam! Pustelnik, żyje w puszczy Świętokrzyskiej. Święty człowiek. Na pewno mógłby to nadać wprost do samej centrali.

— Odpada. Eremici w ogóle nie jarzą, co się na świecie dzieje.

— Do tego przychodzą pielgrzymi. Wystarczająco dużo pielgrzymów, żeby się między nimi prześlizgnął człowiek z informacją...

— Zapomnij o tym, już mówiłem. Nie mogę ci pozwolić...

— Czekaj — żesz, słuchaj! Wcale nie ja. Prorok! Nie pamiętasz Proroka? To jakiś jego stary kumpel, ten pustelnik — tłumaczyłem z ożywieniem, korzystając z faktu, że wreszcie zaczął mnie słuchać. — Uwierzy mu. Prorok jest pobożny człowiek, więc jego opiekuna pewnie nie przekupili... I niedawno stracił pracę. Nie może znaleźć nowej, więc co robi? Idzie z pielgrzymką do eremu. Nic w tym podejrzanego, wszystko się świetnie trzyma kupy. Nikt nie będzie miał pretensji do ciebie. Tylko musisz przymknąć na chwilę oczy, żebym mógł nadać mu sprawę... Przecież wy też chyba od czasu do czasu musicie się przespać albo pójść na stronę?

Długo ważył coś w myślach, ze skupioną miną, z wysiłku aż poruszając bezwiednie upierzeniem.

— Słuchaj — powiedział wreszcie — ale ja nic o tym wszystkim nie wiem. Nic.

— Ja też — zapewniłem go gorąco.

* * *

Właściwie można by tę historię na tym skończyć, ale skoro zacząłem ją od telefonu, to zamknę tym samym. Komórka w mojej kieszeni zaświergotała wczesnym popołudniem, nieco ponad tydzień po rozmowie z moim opiekunem. Prorok dzwonił powiedzieć mi, że wygraliśmy.

Tak naprawdę wiedziałem to już wcześniej. W każdej innej sytuacji uznałbym, że po prostu mi się śniło, ale teraz wiedziałem, co o tym śnie myśleć. Chociaż zapamiętałem go mgliście, jak to zazwyczaj jest ze snami. Jakiś ni to sąd, ni komisja śledcza, bezcielesne twarze za szerokim, zielonym stołem. A naprzeciwko, jakby na ławie oskarżonych, ja sam, tylko strasznie wychudzony. Ktoś wprowadził mnie przez drzwi, których, mam wrażenie, wcale nie było, bo wszystko w tym śnie unosiło się w powietrzu. A ci z za stołu nazywali mnie świadkiem. Czy świadek potwierdza... Czy świadek może opisać... Co świadkowi wiadomo o tak zwanym Radiu Alleluja? O Radio Alleluja pytali na pewno, o co jeszcze, nie pamiętam. Rano leżałem długo z przymkniętymi oczyma, starając się jak najwięcej zapamiętać, ale niewiele to dało. I myślałem: wszystko w porządku, dobrali się do nich, jakoś teraz wszystko powoli wróci do normalności.

I rzeczywiście, wkrótce potem zadzwonił Prorok.

— Wygraliśmy — powiedział. Nie, właściwie brzmiało to, jakby śpiewał. — Nadzór giełdowy dobiera się do „Polskiego Mięsa”. Unieważnili transakcję sprzedaży pisma. Właśnie dzwonił szef, że wracamy wszyscy do roboty! Ruszaj szybko tyłek, bo trzeba na poniedziałek złożyć numer!

Nie przypominam sobie, jakimi słowami wyraziłem swoją radość. Moją uwagę przyciągnęło coś innego. Gdy rozłączałem się po rozmowie z Prorokiem, dostrzegłem migoczącą na wyświetlaczu ikonkę SMS-a.

Był wysłany z zastrzeżonego numeru i niepodpisany, ale nie miałem kłopotów ze zgadnięciem, kto może zwracać się do mnie „mój promyczku Księżycu” i informować, że pewien biznesmen znowu wylatuje na weekend załatwiać sprawy w Reichu.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym perspektywa kolejnego weekendu z Renatką i nieuchronnie z tym związanego poniedziałkowego kaca stawała się mniej atrakcyjna.

— Posłuchaj — powiedziałem wreszcie na głos do powietrza przed sobą. — To nie jest żadna próba przekupstwa. Po prostu umowa. Będziesz miał tę „Zdrowaśkę” co wieczór... I „Ojcze nasz”. Codziennie. Tyle mogę zagwarantować, sprawa niedzielnych mszy pozostaje do osobnych negocjacji. Ale bądź łaskaw mnie teraz z tego wypłatać, jasne?

maj 2002